

ELIZA ORZESZKOWA

Gloria victis


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ELIZA ORZESZKOWA

GLORIA VICTIS

Gloria victis

(r. 1863)

Leciał wiatr światem ciekawy, niespokojny, słuchał gwarzeń, opowiadań wód, zbóż, kwiatów polnych, drzew przydrożnych i — szumiał. Szumiał o wszystkim, co widział, co słyszał na szerokim, wielkim, na przedziwnym świecie i leciał, aż przyleciał do krainy, w wody, trawy i drzewa bogatej, która nazywa się Polesie litewskie.

Hej, przestworza wolne, przestworza rozłożyste wiatrowi prędkiemu na równinach, co skraje niebios dokoła podpierają bez przeszkód, bez zasłon. Nie uderzy się tu wiatr prędko o żadną górę ani o żaden pagórek, nie powstrzyma lotu jego żadne wysokie miasto i chyba tylko las przed nim stanie z obliczem ciemnym i nad łąkami bezkresnymi, nad rozlanymi po nich wodami zaszepcze słowo: tajemnica!

Ale dla wiatru las tajemnic nie ma. Są to dwaj przyjaciele. Przenika wiatr leśne gęstwiny od skraju do skraju i one mu wszystko, co widziały, słyszały, opowiadają. Przenikają się wzajemnie i w noc gwiazdziste, w dzień od śniegu białe, w wieczory jesienne od chmur posępne, od deszczu szemrzące, wiodą ze sobą długie przyjaciół rozmowy.

Leciał tedy wiatr nad Polesiem, gdy letnie słońce miało się ku zachodowi i w blasku jego smółki na łąkach stały zarumienione jak zorze, a wody oblekały się w barwy tęczowe. Na wodach w szyby wieloramienne, w strugi leniwe rozlanych jaśniały fiolet, purpura i złoto, a nad nimi, w powietrzu, rozpościerała się cisza błękitna, głęboka.

Wiatr ciszy nie mącił, albowiem nie był z wiatrów takich, co grzmiały i huczały, wstrząsały i obalają, ale z takich, co kochają świat. Latał po świecie, ażeby zbierać jego prawdy i baśnie, minione dzieje, wyrzucione jęki, echa staczanych walk, ażeby zbierać pyłki jego nadziei, żuźle jego żalów, tony jego pieśni i nieść je w przestrzeń, w dał, w czas, w pamięci, w serca...

Przeleciał wiatr prędko nad łąkami rozległymi, łagodną pieszczotą muskając w locie rumiane smółki i czerwone szczawie, łagodną swawolą w drobne fale marszcząc tęczowe wód powierzchnie, aż rozwinęła się przed nim wstęga wody wcale niż tamte innej, cicho stojącej w korycie rękoma ludzkimi wyżłobionym.

Wiedział wiatr, co to za woda i jak się nazywa. Przed połową stulecia tu był i wiedział, że jest to Kanał Królewski. Hej, hej, ten pasek wody bladobłękitnej, sennej, jakaż mu to przeszkoda!

Zanim motyl zdołał wzbic się z przybrzeżnej trawy na szczyt situ, u którego zwinął do snu połączane skrzydła, wiatr przeleciał nad Królewskim Kanałem i oko w oko spotkał się z roztoczonym jak wzrokiem sięgnąć, wysokopiennym, cienistym, przezroczystym lasem. Odkąd tu był, pół stulecia upłynęło, jednak poznał przyjaciela.

— Jak się masz? — zadmuchał wesoło.

Las w odpowiedzi zaszumiał:

— Witaj, miły latawce!

I wleciał wiatr do lasu uradowany, zwinny, przelatujący wśród świerków, brzoź, olch, dębów, ramionami owijając pnie starych przyjaciół i skrzydłami na ich konarach składając pocałunki przywitalne.

— Jak się macie? — szemrał i szeptał. — Coście przez czas ten widziały, słyszały? Co się tu u was, dokoła was działo, stawało?

A stare świerki, dęby, brzozy rozłożyste, ramionami powiewając, odpowiadały:

— Działy się tu i stawały rzeczy dziwne, rzeczy głośnie, dzwoniące, płaczące, rozlegające się krzykami, jękami...

— Co, co, co się działo? Jakie, jakie, jakie rzeczy? — z szybkością niezmierną szumiał, pytał wiatr, gdyż po to tylko istniał, aby dzieje ziemskie zbierać i po ziemi je roznosić albo nawet niekiedy pod samo niebo wznosić i niebu pokazywać.

Po lesie błąkały się światła zachodzącego słońca, w szerokie, złote pasy ubierając pnie drzew starych, na mchach i paprociach migocząc mnóstwem iskier, w rozkwitłych różach dzikich zapalając rubinowe serca.

Róż dzikich, traw, paproci pełna była polana bardzo rozległa, wyniosłymi drzewami zewsząd otoczona, na którą wiatr wleciał i wnet po niej uwijać się począł z szybkością nadzwyczajną, wznosząc się i opadając, badając, szukając, na różne tony szumiąc:

— Co się tu działo? Co się tu, na tej polanie, działo? Coś osobliwego, coś nadcodziennego dziać się tu musiało! Czuję krew! O! długo, przedługo ziemia wydaje z siebie woń krwi swych dzieci, ludzi! Słyszę jęki! O, długo, przedługo powietrze trzyma pod obliczem nieba jęki dzieci jego, ludzi! Tu był bój jakiś i tu były zgony! Tu były rany, tętenty koni, krzyki! Mówcie, drzewa kochane, opowiadajcie, mówcie!

Drzewa milczały, tylko po ich gałęziach przebiegł dreszcz lekki, krótki, jakby z zimna nagłego powstały, co dziwne było w ten ciepły dzień letni.

A właśnie w tej chwili wiatr z gwałtownością u niego niezwykłą, z szumem namiętym zapytywać począł:

— A toż co? A to co jest takiego? Tego natura nie uczyniła! To uczyniły ręce ludzkie? Tu nigdzie natura pagórków nie usypywała! Ten usypyany jest przez ludzi! Kto? Po co? Dlaczego? A tenże krzyżyk na pagórku, wśród liliowych dzwonek, Boże, jak mały, prosty, biedny! — Co znaczy? Mówcie, drzewa, o mówcie, błagam!

Wtedy dąb wyniosły i silny, któremu kępa zwisających w dół gałęzi czyniła brodę długą, brzoza wysmukła i cała w długich, ku ziemi opadających warkoczach, świerk wyprostowany, w hełmie z iglicą strzelistą na szczycie, odpowiedzieli chórem przyciszonym szumów:

— To jest mogiła!

— Taka wielka, taka wielka, taka wielka mogiła! — zadziwił się wiatr.

Brzoza westchnęła:

— A krzyżyk tak mały!

A dąb zagadał:

— Śpi w niej wiele serc męźnych, spalonych na ołtarzu...

— Wiele serc, a krzyżyk jeden — zadziwił się znowu wiatr.

A brzoza znowu westchnęła:

— I taki mały, biedny!

Wyprostowany świerk potrząsnął hełmem zdobnym w strzelistą iglicę i przemówił:

— Jam najwyższy w tym lesie, najdalej widzę, wiem: są na ziemi bohaterzy wieńczeni i nie wieńczeni, mający pomniki i ich nie mający.

Nabożnie wiatr wyszeptał pytanie:

— Jestże to mogiła bohaterów?

— Bezimiennych — odpowiedział świerk.

A dzwonki liliowe, gęsto dokoła krzyżyka rosnące, cicho zadzwoniły:

— Pomarłych młodo, młodo...

— I w mękach — szepnęła róża dzika u szczytu pagórka rosnąca, przy czym od rubinowego serca swego oderwała płatek jeden i na pagórek go rzuciła.

Upadł płatek do motyla podobny na trawy wysokie, a róża westchnęła:

— Ja jedna kwiaty na tę mogiłę rzucam. Co lata, od pół stulecia prawie, rzucam na nią wonne płatki moje, ja jedna!

Tu znowu odezwały się dzwonki liliowe:

— A my dzwonimy pacierz żałobny. Co lato, od pół stulecia prawie, wydzwaniamy nad tą mogiłą pacierz żałobny... my jedne!

Wtedy wiatr pędki położył się na pagórku mogilnym, znieruchomiał. Ludzie widzieć by go nie mogli, lecz drzewa, trawy, kwiaty widziały.

Ciało jego przezroczyste, powiewne, z kryształu i szronu utkane, wydłużyło się na pagórku w skrętach wężowych i tysiącem złotych odbić zaświeciły w nim blaski zachodzącego słońca. Świeciły i migotały błyszczące odbicia te w skrzydłach jego ogromnych, które jak fale płynnego kryształu opadły na trawy polany, we włosach jego, które jak pajęcza tkan ze szronu rozpostarły się nad polaną, w ramionach jego, które jak kryształowe kolumny wznosiły się ku drzewom, gdy w powietrzu płynęło szemranie błagalne, ciche.

— Mówcie, o, starzy wiatru prędkiego przyjaciele! Wy, co przez wieki mieszkacie w świątyni dumania i czołami niebotycznymi podpieracie stropy samotni nieskończonych, zamysłeni świadkowie dziejów ziemi, tysiącoustni a milczący stróże mogił leśnych, bezimiennych, zapomnianych, nieuczczonych, wyśpiewajcie mi o tej mogile strofę życia i strofę śmierci, abym mógł unieść ją pod niebo i pokazać niebu, a potem nieść nad ziemią w przestrzeń, w dał, w czas, w pamięci, w serca...

Ostatni rąbek tarczy słonecznej za skraj ziemi zasunął się i zniknął. Natomiast zorza wieczorna w purpurze i płomieniach podniosła się za lasem i las napełniła światłami pożogi. W powietrzu, pomiędzy liśćmi drzew, na krzakach i trawach, rozsypały się okruchy świetlnej łuny niebieskiej, mające czerwoność i ognistość płonących kropel krwi.

Stary, potężny dąb, pałającymi kroplami krwi na gałęzistej brodzie świecąc, rozwarł szerokie ramiona, powiał nimi w powietrzu i tak szumieć zaczął:

— Przyszli tu w kilkuset ludzi i rozłożyli się obozem gwarnym, tłumnym, pstrym od odzieży rozmaitej, pobłyskującym orężem rozmaitym.

Jedną tylko część odzieży mieli jednostajną: czapki czworokątne barwy amarantusów albo polnych chabrów i jedną cechę wspólną wszystkim: młodość. Samo lato życia, lato gorące, kwitnące patrzało z ich twarzy, jeszcze znojem trudów i walk niedotkniętych, jaśniało w oczach, po brzegi pełnych zapału i nadziei. Rozłożyli się obozem, zbudowali ze splecionych gałęzi namiotów kilka: dla wodza, dla co lepszych koni, dla przyszłych rannych; u rozpalonego ogniska zgotowali sobie posiłek wieczorny i gdy roboty były już skończone, a na niebo nad lasem wzeszły gwiazdy, wzbili ku niebu i ku gwiazdom chór silnych głosów, śpiewających hymn skargi, ufności i prośby. Hymnu tego my, drzewa, słuchaliśmy zdumione, wtórując mu szeptem ciekawości pełnym: „Co to będzie, co to będzie?”

Wodzem ich był człowiek świętego imienia, które brzmiało: Romuald Traugutt. Pytasz, dlaczego świętym jest to imię? Albowiem według przykazania Pana opuścił on żonę i dzieci, dostatki i spokój, wszystko, co pieści, wszystko, co raduje i jest życia ponętą, czarem, skarbem, szczęściem, a wziąwszy na ramiona krzyż narodu swego, poszedł za idącym ziemią tą słupem ognistym i w nim zgorzał. Nie tutaj zgorzał. Nie w tej mogile śpi. Kędyś daleko. Ale wówczas na czele hufca tego na tę polaną przyszedł i patrzyliśmy na niego my, drzewa.

Po razy wiele w czasach dalekich spod głazu niewoli, który tę ziemię tłoczył, wzbijał się był słup ognisty ku obiecanej krainie wolności wiodący i gromady ludzi za nim szły. Wzbil się i teraz, gromady ludzi za nim poszły, ta była jedną z nich, a on jej przywodził. Widziałyśmy jego czarnowłosą głowę z oczyma myśliciela i uśmiechem dziecka. Oczy miał mądre, smutne — podobno bratem bliźniaczym mądrości bywa u ludzi smutek — a uśmiech świeży, perłowy, z kroplą słodczy dziecięcej albo niewieściej. Przez czoło śniade palec tragicznych przeznaczeń wcześniej przeciagnął mu zmarszczkę surową, niekiedy aż groźną.

I głos jego słyszałyśmy z brzmieniem jak stal dzwoniącym, rozkazującym, niekiedy aż groźnym. Tak grzmieć musiał w wąwozie termopilskim głos Leonidasa.

Skąd wiemy o Leonidasie? Pra-pra-ojcom naszym opowiadały o nim pra-pra-ojce wiatrów prędkich i nikt nie zgadnie, kędy, jak, kiedy o rzeczach wielkich i o rzeczach wiecznych rozpowiadają wiatry drzewom, drzewa chmurom, chmury gwiazdom, gwiazdy duchom, a baśnie i pieśni, wieści i powieści płyną jak świat szeroko i jak wieczność długo...

Czy Leonidas wiedział, że gdy wawóz termopilski trupami hufca swojego zasypie, stopa niewoli ziemi greckiej nie dosięże? Jezeli wiedział, błogo mu było uścielać tę krwawą zaporę i jako pieczęć składać na niej siebie!

Ten nie wiedział. W orężnych sprawach ludzkich biegłym był, bieglność ta w dalekowiedztwo wzrok mu zaostrzała, spostrzegał wylaniającą się z za dnia ofiar i boju potworną, czarną noc.

Jednak szedł i prowadził, bo taka była moc słupa ognistego, który wówczas nad ziemią wzbil się, taka tęsknota za obiecaną, oczekiwaną, za upragnioną, płomiennie kochaną krainą wolności i taki był krzyż narodu jego ciężki, nieznośny...

Ale nie o nim teraz opowiadać będę. O nim potem, długo. Długa być winna powieść o mężu wielkim, który po sobie zostawił imię głośnie.

Teraz o jednym z bezimiennych, z najmniejszych, z najmłodszych, o tym, nad którego głową niemal chłopięcą ręką niewieścia ten mały krzyżyk zasadziła.

Piękny maj był na świecie, kiedy tu przyszli. Konwalie kwitły obficie jak nigdy, niedaleko stąd nad błękitną strugą w kalinowych krzakach śpiewał słowik. Zielono było na tej polanie od młodych traw i paproci, kwiecisto od konwalii i róż dzikich, wonnie, złoto i ciepło od wiosny. Gdy oni przyszli, uczyniło się na niej szumnie, dumnie i wesoło. Tak, tak, wesoło.

Nie niewolnicy to byli na arkanie przemocy do boju ciągnięci, lecz dobrowolni ofiarnicy wysokich ołtarzy. Ze światłem idei w głowach, z ogniem miłości w sercach, głowy i serca nieśli wysoko. Byli silni, śmiali, gwarni i czy uwierzysz, wietrze prędko? — byli szczęśliwi. Zapewne uwierzysz, bo wiedzieć o tym musisz, że na Gwieździe, która nazywa się Ziemią, dusze ludzkie i szczęścia ludzkie istnieją w mnóstwie odmian i że, jak motyl na kwiat wybrany, dusza ludzka zlatuje zazwyczaj na tę odmianę szczęścia, która najwięcej do niej samej jest podobna. Ich dusze przyciągnęło ku sobie to szczęście, co rozkwita na wysokich górach i ma kielich purpurowy, a koronę uplecioną z cierni.

Nie tylko przyszli, lecz także i przyjechali. Grzmiała ziemia od biegu osiodłanych koni i powietrze iskrzyło się od błysków obnażonych szabel, ilekroć stalowy głos wodza zawołał:

— Jazda!

Na czele jazdy wybór wodza postawił młodzieńca o postawie wyniosłej i czarnym, iskrzącym się oku. Młody Herkules z kształtów, Scypio rzymski z rysów. Rodzinny dom jego stał niezbyt stąd daleko, od podstaw do szczytu opleciony bluszczem, otoczony gęstwiną drzew odwiecznych, rozłogiem pól żyznych. Spod zielonych bluszczów wyszedł, tutaj przybył i z posłuszeństwem dziecka, z pośpiechem kochanka biegł na swym strojnym, ognistym arabie, ilekroć rozległ się głos wodza, wołający:

— Jagmin!

Wtedy czapka kwadratowa krwawiła się mu nad czarnymi jak noc włosami, dłoń leżała na głównej szabli, a za silnymi ramionami leciał poszum niewidzialnych skrzydeł... owych dawnych.

Ale ten mój, ten mój mały... (małym Tarłowskim nazywano go w obozie) ani tak silny był, ani tak urodziwy, ani nawet tak bogaty, aby na drogocennym, strojnie przybranym biegunie tu przybyć. Dlatego właśnie ulubieńcem moim stał się, że był wątył, drobny, na twarzy różowy i biały, a oczy miał jak u dziewczyny łagodne, nieśmiałe, czyste i tak błękitne, jak te niezapominajki, które tu czasem u stóp moich rosną. Przebrana dziewczyna czy ledwie dorosłe chłopię! Wcale też niedawno minęło mu lat dwadzieścia. Jednak może i dlatego jeszcze ulubieńcem moim rychło stał się, że we mnie ciekawość obudzał.

Dziwne w wieku tak młodym przepastne zadumy osiadały mu niekiedy w oczach dziewczyczych, łagodnych, a po twarzy różowej i białej przepływały takie luno gorące, jakby tam w nim, we wnętrzu tej jego wątlej, chłopięcej postaci coś płonęło, gorzało.

I przedtem zresztą, zanim tu przybył, już go lubiłem. Mówiły o nim pomiędzy sobą te trawy rozczochrane, które wiecznie pochylają się ku sobie i o czymś mówić jedne drugim muszą. Mówiły o nim rzeczy miłe, ładne. W ciche wieczory szepotów ich słuchałem.

Urodził się nie w tych stronach, kędyś daleko, a w te strony przywiął go ów prąd górny, który wówczas światem płynął i ludzi wysokich rzucał w ramiona i pod stopy małuczkich. On, ten mały, wysoki był wiedzą i myślą. Szybko podbijać musiał ich krainę, skoro tak wcześnie stał się jednym z jej mieszkańców. Był młodym uczonym, takim, co się u ludzi nazywa naturalistą. Mógłby był na szerokim świecie wstępować na drogi wysokie. Wstąpił na niziutką. Przybył w te strony, aby swą myśl i wiedzę rozdawać małuczkim. Dlaczego w te strony właśnie? Nie wiem. Ale to rzecz pomniejsza. Przeznaczenie welonem

tajemnicy osłonięte trzyma w dłoni kolczan z tysiącem trafów, którymi uderza w ludzi i rzuca nimi jak piłkami po świecie przestrzeni i po świecie zdarzeń.

Przyjechał był do pobliskiego stąd miasteczka i uwił tam sobie gniazdo nieduże, codziennie napełniające się szczebiotaniem piskląt ludzkich. Nie przyjechał sam jeden. Przywiózł ze sobą dziewczynę, siostrę młodszą, w sposób bajeczny, prawie aż zabawny do niego podobną. Ta sama drobność wzrostów, wątłość kształtów, te same rysy cery i na rysach rozlane wyrazy. I kochaliż się, kochali! Podobno odumarli im wszyscy bliscy i byli na świecie tylko we dwoje. Samotność serc sierocych i wspólność zagrody rodzinnej, kędyś daleko starymi lipami ocienionej, skrzepiały węzeł u kolebek zadzierzgnięty. Skrzepiała go jeszcze zapewne jednostajność tych gwiazd, które rządzą ludzkimi ukochaniami, chęciami, pracami. Pracowali razem. Brat uczył siostrę, siostra pomagała bratu i zawsze byli razem, we dwoje: w szkole, w domu, na ulicach miasteczka, na drogach polnych i leśnych. Aż zabawnie było patrzeć na tę parę ludzi młodziuteńką, małą, jasnowłosą, różowotwarzą, wiecznie ze sobą sprzęgniętą i wiecznie ze sobą rozmawiającą, naradzającą się, zagadaną, z błyskami w błękitnych oczach i wesołymi uśmiechami na rumianych ustach. Ona go nazywała Marysiem, a on ją Anielką.

Dobrze im było ze sobą i każdy z łatwością mógł zgadnąć, że dobrze im było na świecie.

Wkrótce jednak przyszedł czas, że na ulicach miasteczka, na polnych i leśnych drogach poczeli ukazywać się nie we dwoje już, ale we troje. Towarzyszem ich często bywać zaczął ów młodzieniec spod zielonych bluszców, z postawą wyniosłą, silną i ze śniadym profilem Rzymianina, który to potem na tej polanie miał dowodzić jazdą. Ten zewnętrznie wcale do nich podobny nie był; owszem, jakby innej rasy był, czerwieńszej krwi, spod zamasyzszego, potężniejszego młota natury. Pomimo to zawiązywało się pomiędzy tym trojgiem coś coraz serdeczniejszego: przyjaźń? miłość? jedna i druga razem? — aż dnia pewnego, za sprawą nowego towarzysza, dziewczyna zapłakała krótko, lecz rozpacznie.

Było to tak. W lesie, tym, co tuż za miasteczkiem, siedziała z bratem na obalonej kłodzie i oboje z głowami ku sobie pochylonymi przyglądali się jakiejś pierzastej trawie, po której pełzał drobny jakiś owadek, gdy tamten spieszenie nadszedł i przed nimi stanął. Szukał ich i znalazł. Od dość już dawna wiedział, gdzie, kiedy najłatwiej znaleźć ich może. Zmieniony był, jakiś nie taki jak co dzień. Oczy mu gorzały, spod czarnego wąsa usta zdawały się krwią tryskać, burza uczuć wstrząsała śniadym czołem. Stanął przed nimi, bez słowa powitania odkrył głowę i ręką po kruczych włosach powiódł, a ręka ta, duża, silna, biała, herbowym sygnetem na palcu błyszcząca, trochę drżała. Zrozumieli i — zawiązała się szybko rozmowa.

— Już dzień oznaczony?

— Oznaczony.

— Kiedy?

— Za dni dziesięć.

— Gdzie?

— W Działkowiczach.

— Dokąd?

— Za Kanał Królewski, do lasów horeckich.

Tu głos dziewczyny zawołał:

— Już!

A on brata jej zapytał:

— Postanowienia nie zmieniłeś?

— Chyba by dusza moja zmieniła się na inną!

— Więc razem?

— Razem!

— Za dni dziesięć do mnie i ze mną tam, gdzie będą wszyscy...

Zamilkli, bo rozmowę przerwał im płacz niewieści. Z twarzą ukrytą w drobnych dłoniach Anielka łkała i było to łkanie rozpaczne.

Wiedziała, że to się stanie, lecz kiedy już, już stawać się miało, tak płakać zaczęła, że aż całe wątłe jej ciało w tym płakaniu kurczyło się i drżało, aż jasne włosy rozsypywały się po ramionach i na szarą sukienkę przez palce przeciekały strumienie łez. Ale niedługo, niedługo. Mocowała się z łkaniami, z łzami — i ustały. Wstała i ramionami otoczyła szyję

brata. Przycisnęła się do piersi jego mocno, mocno i odrywając się od niej powtórzyła kilka razy:

— Idź, Marysiu, idź!

Twarz jej od łez mokra stanęła w uśmiechu takim, co to bólem usta kurczy i rumieńce z niej zniknęły. Ale postać drobną z całej siły wyprostowywała i w oczach brata topiąc swe biedne, mężnie ze łzami walczące oczy, powtarzała:

— Idź, Marysiu, idź! Trzeba!

W wieczór dnia tego w małym ogródku, gdzie rosło kilka jabłoni i trochę bzów kwitło, dwa głosy z cicha z sobą rozmawiały. Głos dziewczęcy prosił:

— On silny duchem, ale ciałem słaby, w ćwiczenia męskie niewprawny... Od dzieciństwa książka, nauka, górne myśli i zamiary... Odważny, lecz siła skąd? Kocha, jak kocha, ja jedna tylko wiem, ale czy zdoła? Nie tu urodzony, nikogo tam swego mieć nie będzie. Pan nigdy niczego się nie lękał, to poznać łatwo. Więc pan nie wie, co to trwoga taka... jak szyba lodu na sercu, jak nóż w sercu. O, panie... bądźcie wy tam często razem...

On przyrzekał:

— Tam, gdzie nikogo swego mieć nie będzie, ja będę mu swoim. Przyjacielem mu będę, bratem, w potrzebie obrońcą. I jak razem odchodzimy, tak razem tam będziemy pierś z pierś, dusza z duszą... I razem powrócimy... albo...

Z szerokiej piersi namiętne westchnienie wzbilo się pomiędzy wonie bzów i bzy tylko widziały, jak nad dwojgiem rąk dziewczęcych, drobnych, drżących nisko pochyliła się męska twarz z rzymskim profilem i jak usta męskie, purpurowe, gorące lgnęły się do nich pocałunkami długimi... Pierwsze to były pocałunki, na rękach tych przez te usta składne. Czy i ostatnie także? Potem oczy ich zatoneły jedne w drugich i przy świetle gwiazd wiele sobie powiedziały. Może usta powiedzieć pragnęły więcej jeszcze, lecz w tej godzinie wyrocznej... nie mogły. Czy kiedykolwiek powiedzą? Przeznaczenie stoi za ludźmi welonem tajemnicy zasłonięte i w dłoni trzyma kolczan z tysiącem zdarzeń...

Lecz daj mi spocząć chwilę, wietrze prędko! Są ludzie i losy, o których bez spoczynku długo mówić nie mogą takie nawet jak ja dęby silne. Dreszcze po konarach mi bieżą i na liście występują krople chłodne.

Chłodna rosa na las padała i bujne jej krople gęsto usiały gałęzią brodę silnego dębu. Toczyły się też one z wolna po długich warkoczach brzozy, rozpylonym srebrem świeciły na trawach, krzakach, liliowych dzwoneczkach, na płatkach róż dzikich, których serca, niedawno rubinowe, przygaszały, ciemniały.

Przygaszało, ciemniało również nad lasem niebo, za przezroczystą zasłoną drzew jaśniejąc już nie krwawym płomieniem, lecz bladym złotem zorzy. Od tego bladozłotego jeziora, na niebie zawieszzonego, szły lasem światła smętne, blade, przedwstępne gońce nocy i rozpyłyła się od nich po lesie melancholia zadumana, tęskna...

Ale noc nie nadchodziła jeszcze i na niebie było gwiazd, tylko gdzieniegdzie płynęły po nim od zorzy obłoki przezroczyste, do piór złotych albo do białych rumieńców podobne.

Pod złotawym piórem niebieskim w mdlejących blaskach dziennych wyprostowany świerk zachwiał szczytem ciemnym, ramiona jego zadrżały i wkrótce rozwarły się szeroko, a nad polaną popłynął szum głęboki i dumny najwyższego z leśnych drzew.

— Jam najwyższy w tym lesie, najdalej wzrokiem sięgam i widzę najwięcej.

Widywałem walki, które stacali oni w oddaleniu to większym, to mniejszym, niekiedy tak wielkim, że ich odgłosy dochodziły tu jak głuche turkoty, toczące się za skrajem firmamentu lub jak wzdęte poszumy lasów, gdy targa nimi przelatujący Wicher-Gwałt.

Wtedy tu, na tej polanie, panowały cisze letnie, gorące i wonne, motyle wieszały się na kwiatach, a na mchach i trawach igrały w promieniach słonecznych skrzydlate owadki.

Słowik też w kalinach śpiewać zaczynał i drobne ptactwo, przez gwar odegnane, przywabione przez ciszę, pomiędzy gałęzie nasze powracało.

A tam, we wściekłościach zwierzęcych, w podrzutach śmiertelnych klębiły się ciała ludzkie i we wrzawie bojowej, w stukcie gromów, w ulewie ogromnych błyskawic krew z nich ciekła na trawy, mchy, kwiaty i wsiąkała w drżącą od huku i hałasu ziemię...

Ale ja tobie, wietrze prędko, rzeczy tych, niegdyś widzianych, słyszanych nie opowiem. Gamami szumów swoich często opowiadałam ziemi o jej smutkach, zagadkach, płonnych nadziejach i pewnych mogiłach albo w wicherzyste noce o rzeczach głębokich i wiecznych rozmawiam z chmurami.

Lecz ludzkich walk krwawych opiewać nie umiem. Nie do tegom stworzony ja, mieszkaniec pokojów leśnych, dający gniazdom ptasim przytułek bezpieczny i cienie kojące roztaczający nad wszystkim, co od skwarów usycha i mdleje.

Tylkom drżał od radości i szumem swym śpiewał niebu dziękczynne: hosanna! ilekroć tu powracali żywi i zwycięscy.

Zwycięskimi powracali nieraz i choć im na uznojonych czołach rozlewała się duma triumfu, w szeregi karne wyciągali się na głos wodza, w milczeniu oczekując słów jego rozkazów.

On serca ich w rękę swym trzymał i umiał podbijać je w górę. Odkrywał przed szeregiem czarnowłosą głowę i za to, że były posłuszne jak dzieci a jak lwy odważne, że siłę przemagającej rozproszyć się nie dały, że wstydem nie splamiły krzyża, który przyjęły na swe ramiona — dziękował. Ale i wtedy jeszcze, gdy dziękował, głos jego rozlegał się jak bojowe dźwięki i nie było w nim słodczy ani pieszczoty, hart tylko był i wola żelazna, trzymająca mocno wodze ich woli. Im zaś od tych dziękczyniń stalowych i krótkich na twarze, znojem oblane, prochem opalone, kurzawą okryte, spadał blask wniebobbiorącej radości.

A potem były tu opowiadania, rozmowy gwarne, ogniska buchające wonnym dymem jałowców, wesołe rżenie koni, błogie spoczynki na mchach i trawach, szepty modlitw w świetle gwiazd i brzmienia przyciszonych hymnów chóralnych, z płomienną pokorą wzbijające się ku Temu, który jest nad gwiazdami.

Raz gdy wrócili tak, nie rozproszeni, nie osłabli, lecz owszem, w odwadze i wytrwaniu umocnieni, a na głos wodza: „W szeregi, formuj się!” stanęli przed nim murem zwartym, on jednego z nich przez chwilę wzrokiem szukał i znalazłszy, skinieniem ku sobie przywołał.

I któż wtedy, jak myślisz, wietrze prędko, przed nim stanął? Oto ten mały Tarłowski w tej chwili, o! wcale, wcale do białej i różowej dziewczyny niepodobny. Plamy krwi miał na odzieży i rękach, a pośród twarzy, przez dymy i kurzawę uczernionej, oczy błyskały mu niespokojnie, boleśnie, prawie ponuro. Stanął w zwyczajnej sobie postawie nieco nieśmiało i czekał.

Wódz w milczeniu patrzył na tę postać wątłą, śladami walki ciężkiej okrytą, na te ręce drobne, a zakrwawione i coś z czułości ojcowskich albo z braterskich rozrzewnień przepływało mu po surowym czole. Potem wskazując go wyciągniętym w milczeniu szeregom rzekł:

— Życie mi dziś uratował. Cudem odwagi je uratował; cud, że nie zginął sam. Dziw, że w tym dziecku mieszka taki lew! Nie za to wdzięcznym mu, że żyję, lecz za to, że was jeszcze jako kłamra sprzęgam i że jeszcze razem z wami służę nie żadnemu panu ziemskiemu, ale Umęczonej, że jeszcze służę. Uczcijcie w nim dzielnego rycerza Umęczonej! Ja mu dziękuję.

Tu ramieniem szyję tego małego otoczył i coś z anielskich tkliwości czy radości wykwitać poczęło mu na usta, aż rozkwitło w uśmiech serdeczny, perłowy, świeży i bardzo dziwny pod czołem tragicznym.

Był tam, było potem dokoła tego małego powinszowań, uniesień, uścisków, zapytań, opowiadań. Kto widział, opowiadał; kto nie widział, zapytywał. Zdaje się, że tam, za olchami, na ręce go porwali i wysoko na rękach podnieśli, że dowódca jazdy, w herkulesowym uścisku go trzymając, długo mu coś o siostrze, o pannie Anieli szeptał!... Jakże! Uratował kłamrę tę drogocenną, która ich sprzęgała, wiedzę, która ich wiodła, wolę, która ich wolę trzymać umiała w okowach wytrwania i rozplomienia ogniem nadziei — choćby przeciwko samej nadziei! Powszechna tu była wieczoru tego jakaś dziwna, dobra, braterska radość.

I na nim jednym tylko, który radości tej był przyczyną, wcale jej znać nie było. Wyglądał tak, jakby podzielać ją chciał, ale nie mógł. Na pytania ledwie słowem krótkim odpowiadał lub nie odpowiadał nic; uściski odwzajemniał, lecz był wśród nich jakby we śnie, jakby w zamyszeniu roztargnionym.

Omył z siebie w strudze błękitnej kurzawę, krew, dym prochowy i miał twarz znowu białą i różową, nawet nie ogorzała, bo jak u niektórych niewiast bywa, nie imają się jej białości spieki słoneczne. Lecz myślał o czymś ciągle, niespokojnie, prawie posępnie, jakby dusza jego kołysała się nad przepaścią pełną wątpień, zapytań, zagadek.

Tak gdy gwiazdy wzeszły, położył się pod tą brzozą i gdy wszyscy już spali, nie spał.

Żadne z nas, drzew, tego niepokoju i smutku jego zrazu nie zrozumiało. Jam pierwszy rozumiał. Nie do tego był stworzony. Jak ja, który z niebem często o rzeczach wielkich i wiecznych rozmawiam, nie stworzonym do opiewania krwawych bojów ludzkich, tak on, w geniuszu natury i górnych myślach ludzkich rozkochany, do bojów tych stworzony nie był. Do czego innego był stworzony.

— Znałam go z bliska, znałam dobrze jego myśli i miłości — zaszepiała brzoza, której gęste listowie, w spływające ku ziemi warkocze zaplecione, srebrzyło się jeszcze gdzieś od wieczornej rosy, a suknia z białej rosy przeświecała zza długich warkoczy.

Znałam go z bliska, znałam dobrze jego myśli i miłości, bo dokoła mnie, z ziemi od pobliskiego strumienia wilgotnej wyrasta tłum ogromny roślinek przeróżnych, przyziemnych, drobnych, wśród których krząta się, pełza, biega, podlatuje drugi tłum równie malutkich, przyziemnych, przeróżnych owadków, robaczków, a on, ten mały, z drobiazgiem tym przebywać lubił dziwnie i wówczas tylko na różowej twarzy jego jaśniało szczęście spokojne, błogie, gdy z nim przebywał. On doprawdy drobiazg ten kochał i kształtów jego, życia jego ciekaw był namiętnie.

Śluszenie powiedział świerk wysoki, że był on rozkochany w geniuszu natury, ale ja tylko wiem, bom temu przyglądała się nieraz, jakie on z tym geniuszem rozmowy długie, ciekawe prowadził. I miłosne również, bo tak już jest pomiędzy ludźmi, że ciekawe i długie rozmowy prowadzić oni zwykli tylko z przedmiotami swojego kochania. Przedmiotem kochania jego była natura, lecz powstało przeciw niej kochanie drugie, tym płomienniejsze, że bolesne, i tu go przywiodło. O tamtej kochance zupełnie zapomnieć nie zdołał i przed obliczem śmierci, która co dzień spotkać go mogła, stojąc, wzrokiem i duszą wpatrywał się jeszcze w jej oblicze. W przerwach służby obozowej, w godzinach odpoczynku to bywało.

Inni, odpoczynekowi po ciężkich trudach radzi, zbierają się w gromadki, gwarzą, wspominają i nieraz śmiech wesoły wzbija się od nich nad tym polem bliskiej śmierci, a on jak zwykle chętnie milczący, cichy, chodzi w pobliżu moim pod tymi olchami cienistymi, po tym gaju kalinowym, nad strumieniem i co chwilę na ziemię pochyłony czegoś między ziółkami czy owadkami upatruje, szuka, a znalazłszy w palcach albo w dłoni podnosi i przygląda się, wzrok i pamięć w tym zatapiając — szczęśliwy!

Raz trzech, czterech towarzysze jego przyszli tam i zapytali, czego szuka tak pilnie i czemu tak bacznie się przypatruje. Trzymał wtedy w palcach jakieś piórko zielone, w dziwnie subtelny sposób wykrojone i wyrąbkowane, więc swoim cichym, łagodnym głosem mówić im zaczął o tym, jaka to jest roślina rzadka, jak on pragnął znaleźć ją kiedykolwiek, nie zasuszoną w zielniku, lecz żywą, jaki kraj oddalony, zamorski jest jej krajem rodzinnym, jak przez łądy i oceany wiatr nasiona jej tu przyniósł i jaki to cud natury te wędrówki na skrzydłach wiatru, od bieguna do bieguna ziemi, nasionek tak drobnych jak pyłki. Innego dnia to samo powtórzyło się z powodu owadka złotawego, który trwożnie uwijał się mu po dłoni, a innego jeszcze z powodu wspaniałej korony nenufaru, która u brzegu strumienia rozkwitła, a którą on zerwał i w rękę trzymał, twarz pochyłoną w upajającej woni jej zatapiając.

Towarzysze w ścisłą gromadkę wokół niego skupieni patrzyli, słuchali, wszyscy go wzrostem, szerokością ramion, męskimi zabarwieniami twarzy przewyższając. Czapki ich czworokątne wyglądały na tle zielonym jak ogromne chabry i amarantusy, na odzieży mieli twarde, szerokie pasy i u pasów żelazem pobłyskującą broń. I dziwnie było patrzeć, jak te twarze ogorzałe, piętnem zmęczeń i niepokoju trawiących naznaczone, pochylały się ciekawie nad drobnym piórkiem roślinki albo złotawym ciałkiem owada i jak na te skazane głowy ukojenie i odpoczynek spływały z cichych słów małego towarzysza, z zielonych tkanek rośliny, ze złotawych skrzydełek owada, ze śnieżnych płatków wonnej lilii wodnej.

Oto do czego był stworzony. I jeszcze do tych myśli, które przyjacielowi opowiadał wtedy, gdy wszyscy spali, a on, nie śpiąc u stóp moich, na gęstych trawach leżał.

Tamten nie spał także. Sen z oczu spędzała mu myśl o tej zagadce ogromnej, w którą ziemia ta i najlepsi jej synowie uplątali się jak w krwawą pajęczynę i może jeszcze o pozostałej daleko, tęskniącej pewno, płaczącej może Anielce. Przyszedł do brata Anielki i długo obaj leżeli u stóp moich, twarzami ku sobie obróceniu, w milczeniu nocy rozmawiając tak cicho, jak cicho płaczą moje warkoczki, gdy z lekkim szemraniem spływają z nich na trawę majowe deszcze nocne.

Cicho było. Na jednym z krańców obozu koń czasem zarżał, na innym z piersi uśpionego człowieka wyrwał się okrzyk głuchy albo wionęło ciężkie westchnienie. Ktoś w ostatniej bitwie raniony jęczał pod dębem w uplecionym z gałęzi namiocie, zza drzew otaczających polanę, na przestrzeniach mdło oświetlonych przez gwiazdy widać było czarne posągi uzbrojonych i nieruchomo stojących straży.

Oni dwaj, na siebie wzajem albo na gwiazdy patrząc, rozmawiali o tych czasach dalekich, w przyszłości dalekich, które będą albo nie będą, które jeżeli będą, wodami ukojenia i oczyszczenia obmyją świat, w których podobno miecze mają być przekute na plugi, a jagnięta sen spokojny znajdować u boku lwów...

O przyszłości świata po wiekach walk, zbrodni i mąk rozkwitłej w raj niewinności, pogody i zgody mówili z tęsknotą, z zachwyceniem, upragnieniem. Szeptem cichym marzyli o tym celu przedalekim, ku któremu rzeką wrzącą i wieczną płyną marzenia ludzkich głów i serc najwyższych, a nie wiedzących nigdy, czy kiedykolwiek rzeka do celu swojego dopłynie. Ach, ból i rozpacz tych marzeń bez ziszczenia, upragnień bez nasycenia, zagadek bez rozwiązania! Ach! niezgłębiany tego wszystkiego smutek!

— Bo chociaż przedmiot walki najdroższy jest i święty, przelana w niej krew ludzka trucizną w żyły spływa i rany zadane ranami kładą się na tych, co je zadają. Gniew, ból, śmierć to sępy pasące się na trupach radości, słodyczy i nadziei ludzkich. Zły ród przeciw sobie samemu szpony ich wystawiający! Nędzny ród krótko żyjący, którego synowie nawzajem sobie skracają życie! Nieszczęsny ród, zewsząd w ciele swym i w duchu swym zagrożony, którego synowie nawzajem ciałom i duchom swoim grożą! O! Kiedyż będzie inaczej? Czy kiedykolwiek będzie inaczej? Dlaczegoż nie urodziłem się w tej porze późnej, gdy świat będzie inny, albo w tak wczesnej, aby oczy moje nie potrafiły otworzyć się na to, że mógłby być inny, gdyby, gdyby ludzie byli inni!

Po krótkim milczeniu ze smutnym uśmiechem mówić począł wiersz starożytnego poety:

— Baśń niesie, że Prometeusz do pierwiastku gliny, będącej podstawą istoty człowieczej, wlał po kropli każdego z pierwiastków zwierzęcych, samo serce człowiecze zaprawiając chciwością wilczą i wściekłością lwią. To jest przyczyna tych pomst i gniewów, które w ludzi uderzają zgonami strasznymi i to jest przyczyną, że walą się w gruzy gmachy wspaniałe, że lemiesz wojsk wrogich rozorywują wały podbitych grodów.

— Horacjusz? — zapytał towarzysz mówiącego i w tejże chwili z porywczym gestem silnego ramienia znał trawy się podniósł.

— Podbitych grodów! — powtórzył, chwilę milczał, aż zawołał:

— Teraz inaczej być nie może!... Podbitych grodów... Teraz walka to powinność!...

Głos cichy, ale stanowczo brzmiący, namiętnemu wykrzykowi temu odpowiedział:

— Teraz inaczej być nie może. Dopóki gwałt, dopóty święty przeciwko gwałtowi gniew! Dopóki krzywda, dopóty walka! Przez krew i śmierć, przez ruiny i mogiły, z nadzieją czy przeciw nadziei walka z piekłem ziemi w imię nieba, które na ziemię zstąpi...

— Może zstąpi...

— Kiedyś...

— Gdy nas już na ziemi nie będzie.

Tak oni czasem w zmrokach nocnych rozmawiali z sobą, gdy obóz spał i dokoła obozu na przestrzeniach mdło przez gwiazdy oświetlonych widać było czarne posągi uzbrojonych straży.

Aż przyszedł dzień...

...Szept brzozy zniżał się, tajał, umilkł; przemówił w zamian brodaty, silny dąb:

— Aż nadszedł straszny dzień. Straż daleka przyniosła oznajmienie... Bo okrom bliższej, wokół obozu rozstawionej, mieli oni straż swoją daleką, która tu przynosiła oznajmienia, ostrzeżenia, wieści. Przyniosła je ona tak, jak królewicz bajeczny dążył do zamku zaczarowanej królowy: przez zarośla cierniste, wrzawą upiórów napelnione, przez moczary bagniste, najeżone paszczkami smoków. Czasem strażnik ginął w uścisku upiora lub w paszczęce smoka, czasem docierał celu.

Z daleka już słychać było tętent biegnącego przez las konia.

— Hasło?

— Z nadzieją czy przeciw nadziei!

Wpadł na polanę młody jeździec na koniu zdyszonym, z twarzą oblaną potem. Południe skwarem piekło. Kilka głosów przyjaźnie zawołało:

— Kaliś! Pan Kalikst! Jak się masz?

Ale on na powitania czasu nie miał. Z konia zeskoczył.

— Gdzie naczelnik? Prowadźcie! Prędkiej!

Polaną szedł śpiesznie, przybysza nie widząc, młodzieniec wysmukły w szafirowej czapce na złotych włosach. Adiutant wodza. Ktoś do niego zawołał:

— Radowicki! Od poczty obywatelskiej... wysłaniec! Do naczelnika prowadź!

Adiutant i poseł obywatelskiej poczty dłonie sobie uścisnęli. Koledzy szkolni, sąsiedzi. Razem weszli do namiotu wodza. Obóz zaległa cisza. Taką ciszą martwą na powierzchni, a drżącą w głębiach dyszy natura w przedchwili burzy piorunowej i wicherzystej.

Wkrótce do namiotu wodza weszli wezwani dowódca jazdy i paru towarzyszy innych, kunsztu orężnego mniej lub więcej świadomych. Narada.

Oczekiwanie trwało długo, aż Romuald Traugutt przed namiot swój wyszedł i otrzymane wieści ogłosił.

Były z nich pioruny bliskiego boju i wicher śmierć wiał.

Wojsko ogromne nadciąga, już opasują las, oddziały jego piesze i konne już jak rzeki szumne lasem płyną. Przez las drzew przedzierają się lasy luf, pik, bagnetów. Za godzinę, za dwie tu będą. Poseł wieść przywiózł drogą długą i trudną, lecz przywiózł ją jeszcze w porę. Sto strzelb na jedną strzelbę. Sto pik na jedną szablę. Jak w baśniach. Lecz bywa to prawdą. Czy zlekną się tej prawdy? Kimże są? Nie niewolnikami są przez gwałt i przemoc ciągniętymi na pola krwawe, ale dobrowolnymi ofiarnikami wysokich ołtarzy.

Więc nie opuści ich duch ofiary i duch męstwa! I duch tej miłości, która ich tu przywiodła. Ci, co zginą, będą siewcami, którzy samych siebie rzucą w ziemię jako ziarno przyszłych plonów. Bo nic nie ginie. Z dziś zwyciężonych dla jutrzejszych zwycięzców powstają oręże i tarcze. Lecz oni z siebie dobędą wszystkie siły, wszystkie swe siły męstwa, karność, wytrwania, aby zwyciężyć. Bojowy okrzyk ich: „W imię Boga i ojczyzny!”. Z tym okrzykiem na śmierć czy na zwycięstwo do boju!

Tak mówił. Słowa jego rozlegały się od brzegu do brzegu obozu dźwięczne, krótkie, coraz głośniejsze, gorętsze i jak iskry sypały się na głowy tłumy, aż jak łań kwiatów na łące zakolysał się tłum ten i wyrzucił z setek piersi wzdętych grzmotowy okrzyk zapału.

Potem zakotłowało tu, zawrzało. Siodłanie koni, przydziewanie zbroi, wołanie komend, formowanie się szeregów, głośnie rozkazy, ciche zlecenia. Kipiał ruch, dzwoniły głosy, tętniły końskie kopyta, broń błyskała w powietrzu pełnym słonecznego złota i upału.

Poseł poczty obywatelskiej miał odjeżdżać, znowu drogą długą i nudną powracać tam, skąd przybył. Wprzód jednak zatrzymał konia przed jednym ze sformowanych już oddziałów pieszych i żołnierzowi spomiędzy wszystkich najmniejszemu wzrostem podał przedmiot tak drobny, że zaledwie dostrzec się dający, mówiąc:

— Od siostry!

Był to skrawek papieru niezmiernie drobno zapisany i zwinięty w sposób taki, aby go w potrzebie z łatwością połączyć było można. Takie wówczas listy pisano ze świata do obozów.

Dowódca jazdy na pięknym swym arabie obok szeregów biegł, zobaczył, ku Tarłowskiemu głową skinął.

— Od panny Anieli?

Zamienili się spojrzeciami, na twarzach ich błysnął uśmiech. Był to kwiat ręką dziewczyny z daleka rzucony na te otwarte mogiły. Co pisała? Nie dowiedział się o tym w tej chwili jej brat, bo rozległa się głośna komenda, więc skrawek papieru śpiesznie u piersi skrył. Czy dowie się kiedykolwiek?

Potem wyciągali stąd w porządku, w milczeniu, aż na opustoszałej polanie pozostały tylko trawy zdeptane, kwiaty konające i namioty puste. Namiot dla rannych, u stóp moich stojący, w tej godzinie ich odejścia pusty był tak jak i inne. Napęlić się miał wkrótce.

Nie odeszli daleko. Plan bitwy był podobno kunsztowny, biegły. Obrona i zarazem napaść. Zasadzka ukryta w nieprzeniknionej dla oka gęstwinie, a na luźniejszych przestrzeniach, za każdym drzewem przyczajone oko lufy i na każdym półku mchowym czy paprociowym, w każdej cienistej alkowie z gałęzi dobyte z pochew szable.

Dziwnie to wszystko wyglądało, mówię ci, wietrze prędkie, że dziwnie to wyglądało wśród ucętkowanej kwiatami zieloności leśnej i wśród majowych pędów sosen, które w milczeniu upalnej pogody swe jasne, wieloramienne świeczniki podnosiły nad twarzami ciemnymi, skamieniałymi w milczącym oczekiwaniu.

Chodziły tam po tych twarzach poruszenia i błyski rozmaite: niecierpliwości, zapалу, wyteżonego nasłuchiwania, strącanych przez wolę na dno duszy bólów i trwóg. W powietrzu wolnym od szczebiotania ptaków, które złąknione odleciały, czuć było oddechy kilkuset piersi ludzkich, namiętne, niespokojne.

Aż z głębi lasu przypływać począł szum coraz wzrastający... wzmagał się, przybliżał, coraz ogromniejszy... Jakby powietrzem nadlatywało, jakby dołem lasu nadchodziło coś straszliwego...

— Bacność! Gotować broń!

Rozkazowi temu, który rozległ się tuż prawie za mną, odpowiedział z oddali głos inny, tak samo rozkazujący, krótki.

I było już widać...

Szara masa ogromna, posuwająca się naprzód z trudem i powoli wśród gęstych drzew, po ziemi najeżonej sztywnymi prętami latorośli, zasłanej sieciami podstępnych wiklin. Trudno jej było iść. W szumie jej kroków trzaskały łamane, stukwały rąbane gałęzie.

Ale już wyraźnie było widać... I wtedy... Zastukały, zastukały za drzewami, po zaroślach, gęste, pojedyncze, szybko, szybko po sobie następujące wystrzały i rój błyskawic krótkich, ognistych, rozsypał się wśród drzew i zarośli.

Wnet od strony nadchodzących buchnął i potoczył się ogromny, długi grzmot i zarazem sunąc stamtąd poczęły gęste kłęby dymu. Rotowy ogień karabinów, zbity w sobie, ciężki, odpowiedział posiekanemu ogniovi strzelb, na znacznej przestrzeni rozsypanych.

Była to rozmowa dwu różnych ze sobą grzmotów; drżały od niej ze zgrozy najsilniejsze drzewa lasu.

Czy długo trwała?

Długo. Godziny upływały.

W dymach, które stawały się morzem napowietrznym, kłębiącym się i ciemnym, szara masa, wydłużona w kształt kolumn, to roztaczana w kształt półobróczy, przybliżała się znowu i znowu cofała. Niewygodnie jej było, ciasno i wśród zasłon leśnych ogniem ziejących trwoźnie. Ale rosła wciąż, rosła, gęstniała, na odległościach coraz większych, dalszych. Tysiące coraz nowe, konne, piesze. Jak rzeki wezbrane, o wodach nieprzebranych. Ale też tysiąc zapór, przeszkód w tym świecie leśnym, napełnionym tworami nieposłusznymi, mającymi we własnym swym królestwie swoją wolę i swoją moc. Tysiące też tych stuków szybkich zza drzew i spomiędzy zarośli, które razem z rojami ognistych błyskawic rzucały roje pocisków celnych.

Ilekróć rozdierało się na chwilę napowietrzne morze dymu, widać było bliżej i dalej, z jednej strony i z drugiej, postacie ludzkie rozciągnięte na mchach i wiklinach jak czarne, leżące cienie.

Po obu stronach padały trupy. Lecz nie wszyscy upadający byli trupami. Upadł stąd niedaleko i rozciągnął się na paprociach mały Tarłowski. Ale żył...

Od początku bitwy, za rosochatą olchą na jedno kolano klęcząc, nabijał strzelbę, celował i strzelał, bez ustanku, zapamiętałe, szybko, z wprawą, którą obdarzyły go ćwiczenia obozowe. Jakby nigdy pragnieniem był nie biegł ku rajskiej erze wiecznego pokoju świata, jakby nigdy razem z poetą nie wyrzekał na wlaną w serce człowiecze kroplę wściekłości

lwiej... Coś lwiego czy tygrysięgo błyszczało mu w oczach o rozpalonym błękitcie, pod czołem ściągniętym w jedną zmarszczkę uwagi wytężonej i zaciętości srogiej; w linię srogą jak krwawa uraza zaciskały mu się usta albo rozwarte, dyszące, w pierś wątlą chłoneły węże dymu ziejące prochową wonią.

Wtem nadleciało coś mającego w szarym dymie podobieństwo do wydłużonego ciała czarnej pszczoły i w ramię go ugodziło. Ramię to zwisło u boku, strzelba z ręki wypadła, chciał porwać się z kłęczek, zachwiał się i na wysokie paprocie upadł. Ale żył i po długiej chwili dwie pary silnych ramion zdjęły go z okrwawionych paproci i wniosły do tego namiotu, u stóp moich stojącego, który już nie był pusty.

Pod dachem wysokim, z zielonych gałęzi uplecionym, na mchowych i paprociowych poscielach leżało już kilkunastu ludzi, w których trzewia lub członki żądła swe pograżyły czarne pszczoły. Nad nimi, od jednego do drugiego przechodząc, przyklękali dwaj ludzie z twarzami zatroskanymi, z czołami oblanymi potem, z rękoma czynnymi. Lekarze obozowi.

Ale wówczas dokoła polany tej stawało się już bardzo gorąco. Z coraz częstszymi, z coraz dłuższymi, gęstszymi grzmotami karabinowego ognia, szara masa zbliżyła się już na odległość, z której można było rozpoznawać wzrokiem pojedyncze postacie, twarze, ubrania, bronie. Z żelaznym prawem liczby zaokrąglą się ona w obręcz i opasywała polanę coraz zupełniej, coraz bliżej. Ludzie z tej i z tamtej strony poczeli spotykać się oko w oko i zwierać się pierś z piersią.

W stukach i grzmotach obustronnych ogni dym gęstniał, napełniony ognistymi błyskawicami, krzykami, przekleństwami i wybijającymi się nad wszystko głosami komend krótkich, zdyszanych, coraz śpieszniejszych, zapalczywych, śmiertelniejszych. Duszność i ciemność od dymu wzrastały; lały się w nich strumienie potu, ciekły strugi krwi. Coraz ciałniej stawało się tam, wrzaskliwiej, krwawiej, wścieklej, przekłeciej. Piekło, piekło, mówię ci, wietrze prędko, szalało w tym naszym cichym, wonnym, kwiecistym, niewinnym rajcu leśnym. Piekło ludzkie.

I zdawać się mogło, że nad to, co się już działo, nic na ziemi straszniejszego dzieć się nie może. A jednak...

Kiedy na ludzi spoglądasz, wietrze prędko, nie mów nigdy: „Tu kres ich tragedii!” Bo nikt wśród wszechświata odgadnąć ani obliczyć nie zdoła tego szczytu najwyższego, na który wzbijać się mogą ich tragedie, ich zbrodnie i ich niedorównany we wszechświecie ból.

I oto...

Zza gęstwiny olch i osin, zza tej, co to, widzisz, naprzeciw mnie, spośród krzaczastych zarośli wyrasta, wysunął się oddział wojska konnego, lasem pik długich nad głowami najeżony, nad końskimi grzbietami pochylony i krzyk wydając przeraźliwy poczał przez pustą polanę ku temu namiotowi pędzić. Zoczył namiot ten ludzi pełen i pędzić ku niemu poczał, ku namiotowi, w którym sił i broni pozbawieni leżeli ludzie ranni, a nad nimi z rękoma czynnymi kłęczeli lekarze.

Pędził oddział, zbrojny w piki, na koniach chyżych pochylony, z krzykami przeraźliwymi, z twarzami opalonymi w ogniu bitwy, i szalała mu w żyłach wściekłość lwia...

Lecz za mną tuż rozległ się głos stalowy, wrzask boju przewyższający:

— Jazda! Na obronę rannych.

W mgnieniu oka z dowódcą swym na czele wlecieli na polanę. Czarni od dymów piekielnych, na zziąjanych koniach wypadli zza drzew i zarośli naprzeciw tamtym z podniesionymi szablami w rękach...

Słońce miało się ku zachodowi i zza dymu świeciło tarczą z rozżarzonej miedzi. Na ten poczet lecący, na jego spalone twarze i obnażone szable padł rdzawoczerwony blask, bezpromienny, ponury. W tym blasku dopadli namiotu, już przez tamtych okrążonego, z wątlą ścianą gałęzi już rozwaloną. Straszliwy panował tam tłok i rozlegały się nieludzkie wycia i ryki. Całą siłą rozpędu koni w tłok ten uderzyli, z rąk sypiąc błyskawice szabel i pistoletowe strzały. Dowódca czarnowłosa, do Archaniola z mieczem płomiennym podobny, pierwszy szerokiego otworu doskoczył i jakby nogi konia jego ziemia do siebie przykuła — stanął.

O, Jezu! Nie było już w namiocie rannych ani lekarzy. Były tylko trupy w krwi broczącej i jeszcze otrzymujące nowe rany, umilkłe albo w strasznym konaniu charczące.

A w pośrodku tego pola mordów dokonanych dokonywał się już ostatni. Na ostrzach kilku pik osadzony i wysoko wzniesiony w powietrze mały Tarłowski twarz białą jak chusta wystawiał na rdzawoczerwony blask słońca. Męczeńska twarz ta o umierających oczach, z czerwonym sznurkiem krwi od złotych włosów do ust konwulsją wstrząsanych poznała jednak przyjaciela, ręka szybkim ruchem rzuciła ku niemu jakiś przedmiot czerwony i głos mdlejący zawołał:

— Jagmin! Siostrze!

Ostatni dar, ostatnia myśl, ostatnie słowo! Jak ptak czerwony chusta krwią ociekająca zleciała na szeroką pierś dowódcy jazdy, lecz w tejże chwili upadł pod nim koń jego, kulą ugodzony i on sam wśród tłoku, dymu, wrzasku, stuku wystrzałów, ulewy ognistych błyskawic — zniknął!...

...Przestał szumieć dąb brodaty i cisza nocna zaległa polanę. Bo noc już nadeszła, mroczna, ale nie ciemna: przezroczysta, gwiazdzista, majowa.

Na pagórku mogiłnym, na wysokich trawach wiatr leżał tak lekki, że nie ugiął się pod nim ku ziemi wysokie trawy. Ogromne skrzydła jego żałośnie zwinęły mu się u boków i smutnie rozsypały się po ziemi włosy ze srebrzystych szronów pajęczo uprzedzone. W wydłużonych skrętach jego kryształowego ciała blado świeciły odbicia gwiazd i z odbić tych jedno tylko wzrastało w blask i wielkość, aż wzrosło w płomyk gorejący, od którego tając począł kryształ jego piersi. Tąjał od gorejącego płomyka kryształ piersi wiatru prędkiego i ściekał na wysokie trawy z szemraniem tak cichym, z jakim płaczą warkocze brzozy, gdy z nich na ziemię spływają majowe deszcze nocne. Tak na bezimiennej, zapomnianej, nieznannej mogile leśnej płakał wiatr.

I cicho znad traw zaszeleścił:

— A ten krzyżyk?

Ciche nad samą ziemią odpowiedziało mu dzwonienie:

— My, małe dzwonki liliowe, my, małe dzwonki, litośnięsmy chłodziły jej rozpalone czoło i piły lejące się z oczu jej łzy.

Po latach, po wielu, o smętnej jesieni przyszła tu ciemna, drobna i u stóp pagórka twarzą padła na ziola.

Biedną twarzą! Bo nie była już biała ani różowa; białość jej i różowość wypilo z niej życie. Biedne życie! Bo nie wiemy, co tam na świecie czyniła, a w oczach stała odbita samotność tęskniąca, gorzka.

Biedne ręce niegdyś całowane tak miłośnic! Biedne oczy, niegdyś tak podobne do błękitnych, dziewiczych, czystych oczu brata.

On nieprzespane spał na dnie pagórka tego, z ostatnim jej pozdrowieniem, szczyptką prochu, na piersi w proch rozsypanej.

I tamten...

Leżała na pagórku do ziół żółkłych tuląc twarz uwiędłą i na ich kobiercu rozciągając suknię swą ciemną, biedną...

Myśmy wtedy nie miały kwiatów, jakże? w jesieni! więc tylko liściem chłodnym objęłyśmy twarz jej od płaczu gorącą i łzy piłyśmy, co długo płynęły z oczu.

Długo. Nieprędko z ziemi wstała i ten krzyżyk mały, który przyniosła z sobą, wśród łądyg naszych utkwiała. Potem drobna jej postać odeszła w zmierzch wieczorny, wśród żółtych drzew zniknęła i nie wróciła już więcej nigdy...

...Teraz zaszumił potężny, brodaty dąb:

— I płynęły lata za latami...

O każdej wiosnie ptaki przylatywały tu gromadnie, wiewiórki po świerkach tańczyły i w trawach biegały, pełzały, podlatywały drobne owadki, robaczki. Róże dzikie odkwitwały i zawieszały się u koron ich motyle. Słońce kładło na trawy szerokie płachty złote. Od zórz wieczornych żeglowały niebem rumieńce obłoków. W zmrókach nocnych świeciły wysokie gwiazdy lub ciężkie, ciemne całuny nisko rozwieszały chmury. Płynęły dni za dniami, noce za nocami...

W głębokie jesienie huczały tu wichry, szumiały ulewy, szemrały deszcze nieskończone, a w śnieżyste, szkliste zimy my, drzewa, wznosiłyśmy nad tym wzgórzem grobowce

ze szkła szronów i z marmuru śniegów, zimne, białe, koronkami obwieszane, brylantami osypane. Czasem na te grobowce zlatywały stada wron lub kawek, krakaniem grobowym powietrze napełniając, albo w królewskiej postawie zatrzymał się wśród nich jeleni wspaniały, przebiegło stado kóz płochliwych, drobny zając przemknął, znacząc na śniegu zygzaki ciemnych śladów. Płynęły wiosny za wiosnami, zimy za zimami...

I dwie rzeczy były niezienne. Zawsze stała tu wysoka od ziemi do nieba samotność z obliczem niemym.

I ciągle płynął tędy nieśmiertelny strumień czasu, niestrudzenie szemrząc: *Vae victis! vae victis! vae victis!...*

...Wiatr prędko już nie płakał. Kryształowe ciało jego wstawać zaczęło nad wzgórzem mogiłym i coraz wyższe, silniejsze, potężniejsze, rosnęło.

Wstawał i na kształt powiewnej kolumny wzrastał do wierzchołków drzew, wysoko nad ich wierzchołki, jeszcze wyżej, cały w gniewnym szumie podnoszących się nad ziemi skrzydeł, w zawierusze włosów roztaczających się naokół olbrzymią siecią pajęczą, świecąca szklistym szronem. Aż, niebotyczny, wzdęty, niezliczonymi odbiciami gwiazd roziskrzony, roztoczył skrzydła latawca-olbrzymia, na las cały rzucając okrzyk:

— *Gloria victis!*

I zerwał się z mogiły, wzleciał nad las, szlakiem powietrznym dotarł ciemnego nieba i do gwiazd mrugających, do srebrzystych dróg mlecznych zawołał:

— *Gloria victis!*

A potem znów ku ziemi spłynął i niespokojny, gniewnym czy świętym szalem zdjęty, szumiącym szlakiem ciemności przerywając, nad polami, nad wodami, nad lasami, nad miastami i wioskami, na całą kulę powietrzną, która obejmuje ziemię i na całe sklepienie niebieskie wołał:

— *Gloria victis!*

Zdumiewały się, wołania tego słuchając pola, wody, lasy, wsie i miasta, zdumiewała się kula ziemską i kula powietrzną, w zdumieniu zapytując, kto nad światem głosi tę ogromną, niesłychaną, tę fantastyczną, niespodziewaną nowinę! Czy baśń dostała skrzydeł i nocami poczęła światu przedziwne rzeczy opowiadać? Czy tak wołają duchy strącone z planet innych? Czy senne rojenia? Zjawy bezcielesne? Złudy? I zaliż przemienienie świata głos ten zwiastuje lub jego skończenie?

A wiatr prędko od nieznanego, bezimiennej, wielkiej mogiły leśnej leciał i leciał, niosąc i niosąc w przestrzeń, w czas, w pamięci, w serca, w przyszłość świata triumfem dalekiej przyszłości rozbrzmiewający okrzyk:

— *Gloria victis!*

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gloria-victis-gloria-victis>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Gloria victis*, wyd. 1, wyd. Czytelnik, Warszawa 1986

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Izabela Erdmann.

Okładka na podstawie: [Leithcote@Flickr](https://www.flickr.com/photos/leithcote/), CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.